



ŻYCIE SPOŁECZNE.

NASZ NIETZSCHEANIZM.

... plappern immer,
Wie Mühleäder stets bewegt!
Heine.

Nat dwa niespełna, a jakaż olbrzymia różnica! Kiedy zaprzyszłorocznej wiosny opuszczałem Warszawę, byłem pod wrażeniem, że nawet wróble na dachu chyba urządzają rauty, świegoczą o różnych palących kwestjach i czubią się nie tylko o samiczki i obowiązki gospodyni — pięć każda ma stosowną sferę czynu — ale też o doktryny ekonomiczne. A coż dopiero mówić o rautach, wyprawianych przez dwunożnego ssaka, który wyróżnia się od skrzydlatego obywatelstwa chociażby tem, że posiada mowę członkowaną! Stały się one przybytkiem cnót społecznych i rozpraw o społeczeństwie. Młodzieniec, naturalnie przyodziany według wzorów przyzwoitości, uważał za swoją powinność skierowywać uwagę tancerki ku wzniosłym ideałom i głębokim teoryom, a zatem objaśniał swojej towarzysze, na czem polega żelazne prawo Ricarda lub wykazywał wyższość idealistycznego pojmowania dziejów nad materialistycznym, przyczem nie omieszkiał ironicznie zdrwić z czerstwości i ciasnoty materialistów; panienki dobrego tonu zamieniły staroświeckie modlitewniki na różne gawędy ekonomiczne, ufając nieokreślonemu przeczuć, że środek ów doprowadzi je do ołtarza.

Wróciłem i znalazłem zmianę radykalną. Naturalnie „rautująca” inteligencja pozostała tem, czem ongi była w swoim składzie; nieco osób ubyło, nieco przybyło, ale zmiany te są zbyt drobne, ażeby wyraziły się w fizjognomii umysłowej „smietanki” naszego kraju. Lecz chociaż pozostali dawni ludzie, słychać przecież wśród nich zgola nowe piosenki. „Żelazne prawo” poszło do kąta, panienki wyrzuciły na śmieci

podreczniki ekonomii, młodzieniec bowiem zaczął ozema innem zamieniać nieobecność grzywy lub rogów. Inne sitko wywieszono na płocie, właściwie wywieszono ich wiele, ale nie wszystkie stały się godne szczebiotu. Jaka jest nowa zabawka fechtunku językowego, o tem zaraz na wstępie do Warszawy powiadomiła mnie jedna dawna znajoma, osobka, posiadająca ten cenny przymiot, że pod każdym względem, a zatem zarówno w zakresie ducha, jako też w obrębie znikomej powłoki cielesnej, trzyma się zawsze ostatnich wzorów — chciałem powiedzieć mody, lecz chył głowę pod jarzmo terminologii warszawskiej i mówię: postępu. Jej głowa nosi na sobie najświeższego fasonu kapelusiki, stanik posiada najmodniejsze zgięcia, wreszcie język wyrzuca ostatniego bicia idee i hasła. Po dziesięciu minutach już wiedziałem, co zaprzęta język szczebioczących papuzek i sroczek i rozsądza czaszkę tego odłamu męskiego, który nie włóczy się po knajpach, lecz przykładnie rozprawia na rautach i godzinach przyjęcia o ideach i postępie. Usłyszałem tedy, że moja interlokutorka nie jest już ani zwolenniczką organizmu społecznego, że przestała cenić filozofię Spencera natomiast zaczęła się interesować nieco psychologią, gdyż jest to nauka, posiadająca olbrzymią przyszłość przed sobą, a zapowiadająca, że rzuci nowe światło na ciemne, transcendentalne strony naszego bytu... Wszystko to wypowiedziała moja znajoma z takim poświęceniem, że ledwie zdążyłem się połapać, zakończyła zaś wyznaniem, że tylko jeden Nietzsche zasługuje na miano wielkiego umysłu. Nietzsche! oto jest prorok, na którego brodę zaklina się nasza inteligencja... A gdybym jeszcze powątpiewał o tem, kilka dni pobytu w Warszawie rozpraszaloby wszystkie niedowierzania. Znalazłem się na jednym z owych przelewan, za pomocą języka, z pustego w próżne, zwanych przyjęciami. Płóć męska, nie mogąc roztoczyć jak paw ogona, wyrzucała z siebie słowa, których zasadniczym tonem było hasło: nastaly oazy nad-człowieczeństwa. Przedstawicielki płci żeńskiej, niby chór w dramacie greckim, dodawały: Nietzsche, wielki, arcywielki Nietzsche! Nawet księgarze nasi, którym niepodobna zarzucie zbytcejnej ruchliwości, odczuli prąd chwili, bo w oknach wystaw widzę: *Tak mówi Zarathustra!* Z tego faktu możemy wyciągnąć niechybny wniosek, że nasza inteligencja nie tylko szczebiecze o wielkim mistrzu swojej myśli, ale nadto kupuje jego książki, na pewno oprawia je w ozdobną okładkę; czy zaś czyta, jest to już rzecz mniej pewna, a może bardzo niepewna.

A zatem fala nietzscheanizmu przedarła się też do Warszawy! Ktoś gotów wziąć to za dowód, że bądź co bądź prąd ów świadczy o przebudzeniu potrzeb swojskiej indywidualności. Bynajmniej! Nigdzie, tem mniej u nas nietzscheanizm nie jest ani oznaką, że w pierś ludzką zadrgały głosy indywidualizmu, ani głębokości myśli. Przyznam się, że żaden z nowoczesnych „mistrzów” nie zwabił tak lichy rzeszy pod swoje sztandary, jak „boski” apcykaphan nad-człowieka. Udało mi się poznać grono gorliwych wielbicieli tego proroka w Niemczech. Już sama powierzchowność wyznawców dawała dużo do myślenia. Jakos nie mogę się pogodzić z przypuszczeniem, aby silna indywidualność ukrywała się pod wyliczaną modnie grzywką nad czołem i szła w parze z innymi tego samego kalibru szczegółami, świadczącymi o tem, że kandydat na nad-człowieka nadzłoczy się za gorliwie o ozdoby, mało nadzłoczkie. Najlepsi wśród tego grona byli zapoznanymi wielkościami. Nad-człowieczeństwo balsamem swoim uleczyło ich rany moralne. A po za tymi prowedyrami ciągnęło takie mizeraństwo, że Nietzsche na pewno pierwszy wymiotłby to śmiecie

z przybytku swojej idei. Takich wyznawców zwabił ku sobie apostoł nad-człowieka w Niemczech.

A u nas? Od niejakiego czasu przyglądam się bacznie różnym nietzscheanistom na bruku warszawskim. Typów, noszących w sobie, wyrzeźbioną, mooną indywidualność, nie dojrzałem pomiędzy swojskimi wielbicielami nowego obrządku. Wszystko to, niby wąż trzeina, gnę się masowo to w jedną, to w drugą stronę pod podmuchem każdego „postępu,” mniejsza czy ucieleśnionego w nowym kroju sukni, czy w nowej książce. To też ci, których nauczyłem się poważać za ich samodzielność i indywidualizm, jakoś spępniali w ciągu ubiegłych dwóch lat: ten pije, tamten zakopał się w książkach, ów szuka innego narkotyku, wszyscy zaś stali się odludkami, dla których najmiłą jest samotność. O indywidualizmie, nadszczegółowości i pokrewnych przedmiotach rozstrzyga właśnie gawiedz, która jak najmniej posiada w sobie pierwiastków silnie zarysowanego „ja,” z której szablonu trzodowości towarzyskiej starł wszelkie piętno oryginalności, umysł zaś jest jako zwierciadło, każdej chwili gotowe odbić endze kształty, lecz które samo z siebie nie wydobędzie żadnej postaci. Czyha ona na każdy podmuch mody, przykuwa do niej swój ubiór, gusty i język. Ma jakiegoś lanknienie umysłu, lecz nie zdrowe i silne — mózg musi odrabiać swoje ćwiczenia, ale w taki sposób, jak ongi tańczono menueta. Gawiedz ta przed laty paplala o pozytywizmie i Darwinie, później te *izmy* poszły precz dla Spencera i Ribotta, Renana i Zola, potem ktoś inny i jeszcze ktoś inny zapamiętał, aż wreszcie nastaly czasy nietzscheanizmu, przerwano ukazaniem się Eusapif i przedsmakiem tajemniczości. A ów szczebiot i paplanie rosna z wszechblagą i wszechfrymarzeniem. Nasi historycy obwiniają projeów, że pili dopóty, aż wszystko przepili. Ale jeżeli miałbym wybierać, wołalbym pijatykę dziadów, aniżeli wszechstronną flirtowość wnuków. Ze wszystkich zdechłych sportów najnieczemniejszym jest sport obracania językiem pod przygrywką filozofującej blagi. Kłamstwom były zachwyty nad Comtem, podobną blagą jest kult Nietzschego... Nie umysł i nie serca działały! Jedyłą realną potrzebą, która ukrywała się pod owymi zachwytemi i uniesieniami, była świerzbieżka języka. Nasza inteligencja, zresztą wszelka „rantaująca“ inteligencja, wielkie idee i wielkich ludzi traktuje jako przedmioty do plotki.

Można na palcach porachować miesiące panowania nowego bożka. Przecież nawet szaremu, niepokoźnemu wróblowi sprzykrzy się skakać na tej samej gałęzi i powtarzać swoje „czyk-czyryk!” w tym samym tonie. Podobnie świerzbieżka językowa posiada swoje prawa. Nie dziw, że szczebiozące „inteligentne“ towarzystwo, wysnuwający kwintosenę z filozofii jednej wielkości i wynicowawszy — co jest zwykle bardziej interesującym! — tajemniczo małżeńską alkowy innej znakomitości, oglądać się poczyna za kimś trzecim. Ktoś się zawsze znajdzie! Tak samo Nietzsche zostanie splókany z języków naszej inteligencji. Nie obawiamy się, nie zginie jednak. Niekiedy widzę dziwne obrazy. Cała inteligencja, jak zresztą przystaloby temu szczebiozącemu stadu, posiada jedną duszę i jeden mózg. Ów mózg jest wielkim Panteonem bałwochwalczości. Jak Rzym zbierał bogów ze wszystkich stron swego olbrzymiego mocarstwa, tak samo każde nazwisko, które posiadało ów zaszczyt, że przez pewien czas wymawiane bywało na rantach, przyjęciach itd., zostaje wniesione i zapisane w jakiejś skrytce tego Panteonu. Niech burzo teraz unoszą się nad spuścizną czyją z bożków, niech krytyka wykaże że pod wielkością ukrywała się połączana nicosć, nie to wszystko nie zna-

czy. Imię zostało wyryte w Panteonie i przedstawiciele inteligencji nie pozwolą go znieważać! Że nauka czyjaś jest fałszem, bałwochalców to nie obchodzi, wszak oczęą oni jedynie symbole, imiona. Tworzą się rzędy bałwanów: Schopenhauer obok Spencera, Renan w uścisku z Darwinem, Nietzsche, Hartman, Strass — któż je zliczy. Klaniaj się nisko, nie uragaj i przedewszystkiem nie dbaj o to, czego uczyli...

K. R. Żywicki.

